Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.

CZERWONA RÓŻA

Nr. 6 (17) WARSZAWA, STYCZEŃ — 1939 R. ROK II (VII)

DO MARNOTRAWNYCH SYNÓW LWOWA

Jest w Polsce miasto, w którym dwudziestolecie naszej niepodległości obchodzono cicho, skromnie i jakby wstydliwie. Poprostu dlatego, że nie było tak bardzo co obchodzić. Gdy Katowice święciły powrót Zaolzia, Wilno — normalizację stosunków z Litwą, Gdynia — własny rozwój, gdy Poznań i Łódź święciły zdobycze gospodarcze i nawet małe miasta centralne obchodziły z wielką dumą dorobek C. O. P.-u, Lwów spędził ten dzień na... cmentarzu Obrońców Lwowa.

Jeden tylko Lwów nie radował się, bo żadnym większym dorobkiem w XX-lecie wykazać się nie mógł. Wprost przeciwnie. Lwów wszedł w pierwsze dwudziestolecie Odrodzenia jako bohaterski gród, metropolia gospodarcza i stolica polityczna ziem południowo-wschodnich, a wyszedł zeń jako niewielkie prowincjonalne miasto. W ciągu dwudziestu lat „rozwoju" Lwów nie — rozrósł się lecz — *zmalał*. Lwów dzisiejszy ma się do przedwojennego tak mniej więcej, jak np. dziś Rzeszów do Lwowa. (Z tym jednakże, że za następne dwadzieścia lat Rzeszów będzie już chyba wyglądał jak Lwów i — odwrotnie).

Lwów zdradza od dłuższego już czasu cechy *ginącego miasta*. Zamierają w nim agendy polityczne, kulturalne, gospodarcze — to wszystko, czym górował i sprawował tylowiekową opiekę nad resztą grodów czerwieńskich. Jakaż jest przyczyna, że w miejscu krzyżowania się szlaków dziejowych, w węzłowym punkcie tych ziem — gdzie dla obrony, rozwoju, potęgi Rzplitej winien stać gród pulsujący życiem, promieniujący kulturą, dźwigający swą pracą i siłą całe okoliczne ziemie — że w miejscu tym taki właśnie gród *nie* rozrasta się lecz *ginie?*

Ten nonsens, jak wszystkie nonsensy, wydaje się być pozbawiony widocznych rozumnych, istotnych przyczyn. Dlatego przyczyn tych jakoś dostrzec nie umiemy, natomiast skutki widoczne są z całą przerażającą wyrazistością. Gdy w pismach polskich czytamy notatki o Lwowie, są to z *reguły* komunikaty o likwidacji, przeniesieniu, zwinięciu, nigdy o rozwoju, założeniu, powstaniu. Obecnie gazety rozbrzmiewają sprawą likwidacji jednej z ostatnich fabryk — fabryki drożdży. Leją się po prasie potoki oburzenia i — fabryka oczywiście zostanie zlikwidowana. A któż ma jej bronić?

Mówi się złośliwie o Lwowie, że posiada tylko *cmentarz obrońców*, natomiast żywych obońców ma coraz mniej. W samym Lwowie inne jest o tym zdanie. Panuje tam mianowicie szeroko rozpowszechnione przekonanie, że przyczyną wszystkiego zła są *dwie* wrogie siły, z których jedna, to *ukrainizm* a druga... A drugą określa się ogólnikowym mianem — „Warszawy".

* * *

Zacznijmy od wroga nr. 1. Przyjezdnemu „cudzoziemcowi" pokazuje się dziś wciąż jeszcze, po staremu i bez ironii dwa magistrackie lwy i kopiec Unii Lubelskiej. Nowością, której się nie pokazuje, ale która wyłazi sama na każdym rogu ulicy, są ukraińskie „masłosojuzy". Lwów, który nie ugiął się w r. 1918 pod zalewem ukraińskiego ołowiu, ustąpił obecnie podzalewem ukraińskiego masła. Podczas gdy Niemcy w ubiegłym okresie zamieniali masło na armaty, Rusini z Małopolski Wsch. zamienili stare „minierki", którymi zdobywali Lwów, na — masło. Poszli na „grody czerwieńskie" z bańkami śmietany i gomółkami sera. Ba, w swej maślanej ofensywie dotarli już, jak wiadomo, aż na... Górny Śląsk. Cóż dziwnego, że udekorowany a nieprzygotowany gród orląt i lwa uległ niespodziewanemu atakowi. Wokół Lwowa toczy się dziś *wojna gospodarcza* Polaków z Rusinami, ale dziecko każde we Lwowie wie, że nie o masło bynajmniej chodzi. Zwycięstwa odnoszone w tej wojnie, która jak dotąd jest tylko atakiem strony przeciwnej, mają wybitny walor *polityczny*. Każda nowa krowa to nowy centnar masła, ale każdy jej pastuch to nowy żołnierz z żółto-niebieską kokardką na „siczowym" mundurze. Szanujemy pracę gospodarczą nad podniesieniem ruskiego chłopa. Jest ona jednym z postulatów naszego rozwoju państwowego. Ale nie może stać się pancerzem dla ukraińskiego separatyzmu. W rezultacie bowiem tej całej „maślanej" roboty jesteśmy dziś — w dzudziestolecie — na pewnym etapie tej drogi, która, jeśli się nie urwie, skończyć się może przemalowaniem całej *Rusi Czerwonej* na kolor niebiesko - żółty. A przecież zdajemy sobie chyba dziś — niezależnie od wrodzonych nam sentymentów narodowościowych i wolnościowych — sprawę z tego, że pokolenie Polaków, któreby do tego dopuściło, okryłoby się wobec historii polskiej niczym *niezmazaną hańbą*.

* * *

A teraz kolej na — wstyd pisać—„wroga nr. 2". Powiedzmy odrazu otwarcie: kołata się po Lwowie i okolicy uporczywe a potworne przeświadczenie, że pierwsza z wymienionych tu sił działa na niekorzyść tamtejszej Polonii za milczącą aprobatą drugiej. Że — co tu dużo gadać — „*Warszawa popiera Ukraińców*". Od czasu wystąpień pewnych dygnitarzy, gniących społeczeństwo lwowskie za „endecki" stosunek do Ukraińców, a nawet straszących istniejącą rzekomo w „pewnych kołach" koncepcją ewentualnego ...handlu terytorialnego; od czasu zarządzeń niektórych starostów, którzy pojęcie państwa i narodu polskiego rozgraniczali „na służbie" aż do przesady... od tego czasu Lwów stracił nieco zaufanie do stolicy.

Gdy się pobędzie wśród lwowian przez dni parę, rychło można się przekonać, że „Warszawa“ zajechała im już pod siódme żebro. „Wszak to nie kto inny a właśnie ona — powiadają — ogołociła Lwów z instytucji, urzędów, fabryk, zabrała co najlepszych ludzi do rządzenia państwem, a rychło patrzeć, odbierze i panoramę racławicką, a nawet, jak powiadają niektórzy — i kopiec Unii Lubelskiej“.

„Przetrzymaliśmy — mówią lwowianie — trzy inwazje i dopiero Warszawiacy dali nam łupnia, jakiego — jak Lwów Lwowem — nigdy jeszcze nie otrzymaliśmy“.

Nie będziemy się zastanawiać, ile jest racji w tych skargach a ile pospolitego biadowania. Jedno jest prawdą: był Lwów *semper fidelis* i otrzymał za to *Virtuti Militari*, ale na tych czterech łacińskich słowach kariera jego w Odrodzonej Polsce — jak dotychczas — utknęła.

* *
*

O tym, że Lwów „zeszedł na psy“, że „poszedł z torbami“ słyszy się w tym mieście aż do znudzenia, wciąż, w salonie, na ulicy, w tramwaju i u fryzjera — wszędzie. Jeśli podłoże tych twierdzeń jest *częściowo* tylko prawdziwe, to *opinia o „upadku“ Lwowa* zakorzeniła się już dziś głęboko w umysłach mieszkańców. Poprostu przetworzyła się ona dziś w *szkodliwą psychozę*. Wytworzył się we Lwowie i wokół niego jakiś głęboki *uraz* do Warszawy, do całej Polski, który w dużym stopniu ciąży na aktywności mieszkańców.

Zbyteczne stwierdzić, jak szkodliwe jest to zjawisko dla samego miasta i dla wszystkich, powierzonych jego opiece grodów. Lwów ma bowiem nad nimi zasięg nietylko dzięki posiadanej radiostacji. Lwów sam jest od wieków taką *„radiostacją“*, która na *długiej fali* dziejowej rozbrzmiewała sygnałami mocy, kultury i świetności polskiej. Jest miastem samorodnej i zdobywczej kultury narodowej, bez której nasz skarbiec ogólnopolski świeciłby dotkliwymi lukami.

I o takim mieście wolno dziś mówić, że upada, że słabnie, że grozi mu zagłuszenie przez rozwój jakiejś nowokreowanej nacji, która żadnych praw ani historycznych ani aktualnych do tej ziemi posiadać nie może! Zaiste — potrzebny jest temu miastu na gwałt jakiś *nowy egzamin historyczny, na* wzór tych, które już tak chlubnie ku chwale polskiej odbył! Nie lamenty, nie dąsy, nie gorycz ale jakiś nowy zryw, któryby je na dawne miejsce, nie — na wspanialsze jeszcze i świetniejsze! — wyniósł.

* *
*

Ten zryw może się odbyć tylko siłami *samych lwowian*. A jest ich przecie dziś na świecie co niemiara. „Emigracja lwowska“ ogarnęła dziś wszystkie miasta, wszystkie szczeble, urzędy i dostojeństwa.

Gdy się spotyka dzisiaj na każdym kroku czynnych i pełnych energii lwowian, chciałoby się zawołać: O marnotrawni synowie! Wróćcie duchem do swego rodzinnego miasta, do *każdego* z grodów czerwińskich, gdzie ujrzeliście światło dzienne i nauczyliście się polskiej mowy. Gdziekolwiek jesteście, czy piastujecie wspaniałe urzędy czy tylko sekretarzujecie jakiejś gminie polskiej Podkarpacia — połączcie się myślą i czynem i utwórzcie nowy wspólny front. *Front odrodzenia narodowego grodów czerwieńskich!* Front walki o restytucję narodu na każdej piędzi tej ziemi, o każdej piędzi narodowy rozwój. Ludziom, wyrosłym tu, którym propaganda obca czy własne rojenia podszeptują myśli o separatyźmie, ciśnijcie wreszcie gromkie: „Napohybel!“, jak to oni czynią od lat w naszą stronę.

Czas bowiem najwyższy oczyścić atmosferę z fałszu i zakłamania.

* *
*

Na ziemi lwowskiej nie ma dziś mowy o „normalnych stosunkach polsko-ukraińskich“. Polacy Lwowa i okolic czują od lat na własnej skórze *ukraińską nienawiść*, nieubłaganą i zaciętą, nienawiść, która paraliżuje wszelkie odruchy przyjaźni i współżycia. Czyż wolno oczekiwać, że za te uczucia Polacy na własnej ziemi odpłacać będą Ukraińcom ewangieliczną-słodyczą? Nie, w sercach polskich gotuje się dziś nie gorzej, a silniej niż w ruskich i w tej temperaturze o spokoju mowy być nie może.

Niech sobie Wilno, Poznań, Warszawa wychowuje dalej swych „prometeuszów“ na eksport i do użytku mniejszościowego, ale zdaleka z tym od Małopolski Wschodniej! Z daleka od Małopolski z ludźmi, którzy przybywają tu jak delegaci Imperium Brytyjskiego do Palestyny, aby rozsądzać sprawy miejscowych arabów i żydów!

Ma słuszność polski Lwów, gdy nie chce być traktowany na forum ogólnopolskim przez ideologów i publicystów jako podsądny i oskarżony. Ma słuszność, gdy pragnie być nie przedmiotem *a podmiotem* działania w sprawie swych ziem. Nic o nim bez niego!

Lwów jest dziś *centrum sprawy ukraińskiej* na ziemiach poł.-wschodnich. Musi być zatem takim samym *centrum sprawy polskiej*. Jeśli już inaczej być nie może, jeśli dzieje pchają nas do kłótni z bratnim szczepem, który się od nas odwraca, niechże się rozegra walka na siły, na kulturę, na rozwój między dwoma społeczeństwami Małopolski Wschodniej. Lwów musi stać się dla Polaków ogniskiem tej walki, sztabem operacyjnym i akumulatorem sił narodowych. To jest jego *następna dziejowa misja po r. 1918.* Nie upadać i ustępować ale wzrastać i walczyć.

Bolesław Wasylewski

„POLITYKA” I BIAŁORUŚ

IGRASZKI Z WAŃKĄ WSTAŃKĄ.

Parafrazując tytuł czołowego artykułu „Polityki“ z dnia 25 grudnia ub. r. (Nr. 29), który brzmi: „Związać obywatela z państwem“, mamy szczerą chęć zawołać: związać ręce autorowi! Związać mocno, (choć, rzecz prosta — symbolicznie), aby dalszy ciąg gawędy o problemie „białoruskim“ już nie nastąpił. A dlaczego — o tym niżej.

Pod przytoczonym i pozornie niewinnym tytułem kryje się próba przemytu na porządek dnia politycznego w Polsce t. zw. „kwestii białoruskiej“. Autor jest prawdopodobnie i, słusznie zresztą zdania, że natura nie znosi próżni. Dlatego też, bolejąc niedwuznacznie nad likwidacją panjózewskich dumek ukrainnych na Wołyniu i nad przywracaniem tam polskiego i katolickiego, a pierwotnego stanu posiadania, pośpieszył z pomocą, matce-naturze. Wypuścił mianowicie na łamy „Polityki“, i to na honorowe miejsce, — problem „białoruski“.

Jest to wdzięczna, ale niebezpieczna zabawa z Wańką Wstańką (Wańka-Wstańka — to taka dziecinna zabawka, która wstaje, gdy się ją położy). Jak się go np. przygnie do ziemi na Wołyniu — wypryska na „Białorusi“. Jeśli go tam przydusząć — wyskoczy gdzieindziej. Musi jednak wyskoczyć, choćby na tym cierpiały najważniejsze sprawy polskiego Narodu. Bo „Polityka“ chce koniecznie mieć problem narodowościowy na tapecie, chce koniecznie zajmować się czymś, co byłoby mniej banalne i bardziej ekscentryczne od — sprawy polskiej.

Dlatego Wańka Wstańka, choć dopiero co dostał po łbie na Wołyniu, zjawił się na pierwszej kolumnie tego czasopisma w nowej edycji: białoruskiego balonu próbnego.

Że autor, a z nim i cała redakcja „Polityki“ opowiada się na rzecz „kwestii białoruskiej“ — trudno wątpić. Oświadcza on przecież, że „ośmiela się być innego zdania“, aniżeli „idylliczny nastrój oficjalnej opinii“ to jest tej ogromnej większości Polaków, którym „kwestia białoruska“ nie spędza snu z powiek. Jest to zupełnie wyraźne, choć lekko zamglone, stanowisko.

NIE KAŻDY ŻART — TYNFA WART.

Pozwalamy sobie na małą dygresję. Jest w tekście artykułu pewien niezbyt smaczny dowcip. Mówi się tam z przekąsem, zbędnym naszym zdaniem, o „świętej misji robienia Polski“, jaka ożywia włodarzów różnego autoramentu na kresach wschodnich. Intencje autora są tu przejrzyste. Rozumiemy, że chodzi o liczne faux pas kresowej biurokracji. W takim jednak razie stanowczo odradzamy retuszowanie ironii zwrotami, które mają i swoją wagę i patriotyczny wyraz. „Robienie Polski“ nikogo bowiem nie dyskredytuje. Nawet wówczas, kiedy metoda jest błędna. Każdy Polak winien poczuwać się — naszym zdaniem — do świętej misji budowania Polski i na kresach również. Nie dostrzega on w tym zadaniu żadnego tematu do kpin. To też głupstwa jakiegoś tam osiłka biurokratycznego trzeba mierzyć inną miarą, aniżeli to wybrała „Polityka“. Słownik języka polskiego jest wystarczająco bogaty. Nie ma zatym konieczności strojenia żarcików na temat „robienia Polski“. Nawet w najlepszej wierze. Mogą bowiem zajść poważne nieporozumienia co do właściwych intencyj. Cui bono?

WOLTA LOGIKI, CZYLI GDZIE KRYM, GDZIE RZYM?

Wróćmy jednak do rzeczy. Podstawową przesłanką i źródłem wywodów „Polityki“ jest twierdzenie, że jeszcze w połowie XIX wieku (a więc tuż przed rusyfikatorskim szturmem prawosławia i moskiewskiej administracji) „szerokie warstwy włościaństwa litewskiego i białoruskiego, wychowane w promieniach kultury zachodniej i polskiej, stanowiły jednolite całości etniczne i kulturalne“.

Najsłuszniejsza w świecie teza. Godzimy się na nią bez zastrzeżeń. Aprobujemy również i dalszą przesłankę ,która głosi, że dopiero przed pół wiekiem polskie wpływy począł wypierać teror Rosji oraz, że wyparł je w części na rzecz moskiewskich naleciałości.

Ocena zatym faktów jest zgodna. Przyznajemy również wileńskiemu Murawiewowi palmę pierwszeństwa w niszczeniu wszystkiego, co polskie. I teraz — końcowy wniosek. Jeżeli ziemie, na których szalał Murawiew, powróciły do Rzeczypospolitej i pozostają w jej granicach już od przeszło 20 lat, jeśli — dalej — dotychczasowe przesłanki są prawdziwe i wiążące — za tym...

— i otóż tu drogi naszego rozumowania rozchodzą się wyraźnie. Ze strony „Polityki“ następuje bowiem wolta, nie dająca się pogodzić ani z prawami logiki, ani z interesem Państwa.

Wydawałoby się, że skoro polskość na kresach zagłuszył teror Murawiewa i innych wielkorządców rosyjskich, skoro nalot prawosławia i wschodu jest zupełnie świeżej daty, skoro wreszcie mamy do czynienia z bierną masą, której światopogląd kształtuje każda żywa inicjatywa i siła ekspansji kulturalno-gospodarczej — to trzeba natychmiast zarządzić generalną czystkę, wypalić do cna ślady eurazyjskiego najazdu, przeprowadzić radykalną dezynfekcję po okupacyjnych włodarzach.

Jednym słowem, jeśli uznaje się tam polską rację stanu, nakaz przywrócenia „jednolitej całości etnicznej i kulturalnej“ jest jedynym logicznym wnioskiem.

Tymczasem ostateczny wniosek w świetle poglądów „Polityki“ jest zgoła nieoczekiwany i przekreśla cały dotychczasowy tok rozumowania. Wysunięcie bowiem po historycznych wywodach — „kwestii białoruskiej“ oznacza pogodzenie się ze stanem rzeczy, narzuconym przez okupantów, oraz dobrowolne objęcie dziedzictwa po Murawiewie z całym dobrodziejstwem pozostawionego inwentarza. A nawet — stwierdzamy to nie bez zdumienia — jakby gotowość kontynuowania politycznej koncepcji „Białego Cara“.

Można by było jeszcze wyrozumieć tendencje „Polityki“ w wypadku, gdyby zostało udowodnione, że owa Białoruś kipi nacjonalistycznym dynamizmem i rwie się żywiołowo do samodzielnego bytu. Ale rozwijanie sztandaru, na którym dawniejszy ponier „jedimoj i niedielimoj“ oraz dzisiejszy agent wywrotowy wypisali antypolskie hasła, jest co najmniej jaskrawym przykładem oderwanego od życia doktrynerstwa. To już nie „prometeizm“, ale rezygnacja, defenzywa i trąbienie na odwrót. To awizo kapitulacji i przedterminowa aprobata pogromu polskości na kresach.

I w imię czego? Czyżby — przerostu fantazji nad trzeźwością, chorobliwego pociągu do utopii i dziecinnej uciechy z nowej zabawki?

Bo przecież nie w imię cudzych interesów?

OŚ WILNO — LWÓW I — BERLIN.

Twierdzenie „Polityki“, jakoby nie doceniano w Polsce kwestii białoruskiej, jest błędne. Gdyby tak było, nie dowiedzielibyśmy się nigdy o wysiedleniu działaczów „białoruskch“ przez władze bezpieczeństwa, o procesach sądowych agentów KPZB, o wyraźnych tropach, prowadzących z Wilna do katedry Świętojurskiej a stamtąd via Karpatoruś — znacznie dalej. O tej całej robocie dywersyjnej, szytej grubymi nićmi przez pewne ośrodki zachodnie z jednej strony, a całkiem otwarcie instruowanej przez Komintern z drugiej.

Taką bowiem „kwestię“ białoruską znamy doskonale. Nasze stanowisko jest wobec niej zdecydowanie wyraźne i niedwuznaczne. I chyba nie zdziwi zespołu „Polityki“ oświadczenie, że znamy również niezawodne lekarstwo na dywersję zewnątrz kierowaną: prokuratora, miejsce odosobnienia i przymusową emigrację. Przykre to jest dla pacjentów, ale konieczne dla zdrowia Rzeczypospolitej. A wszak o jej to salus chodzi nam wszystkim.

BIAŁORUSKI PIEMONT I KOCIOŁ KARPATORUSKI.

Polska opinia publiczna jest zdrowa. Nie pragnie w najmniejszym stopniu reinkarnacji józewszczyzny na nowym terenie eksperymentalnym. Prometejskie wizjonerstwo nie jest dla niej wystarczającym bodźcem do rezygnacji ze szmatu polskiej ziemi. Bo przecież do tego właśnie musi nieubłaganie zmierzać w końcowym efekcie montowanie „kwestii białoruskiej“. Zwłaszcza, gdy się ją uzasadnia cenną uwagą, że „zagadnienie białoruskie w Polsce wykracza poza ramy państwa polskiego“.

Oświadczenie to jest niezmiernie cenne.

Cóż to znaczy? Czyżby to była sugestia, że mamy u siebie przygotować grunt dla przyszłych przemian i rewizji terytorialnych? Czy mamy za niedawnym przykładem Wołynia ostrzyć miecz na własną głowę, pieczołowicie klecąc Piemont dla tkwiącej dotąd w nieznanym Białorusi? Czy mamy, wzorem doświadczeń południowo-wschodnich, na obszarze wileńsko-nowogródzkim honorować indolencję, pasywizm i krótkowzroczność, które uczyniły z Ziemi Czerwieńskiej dzisiejsze zaplecze dla karpatoruskiego kotła ukraińskiej irrydenty?

Nie, drodzy Panowie! Czas pomyśleć o polskim narodzie. Dosyć eksperymentów, koncepcji, kwestii i rozmaitych „problemów“. Tam gdzie Panowie odkryli ognisko białoruskiego ruchu i miraż nowego posłannictwa — tam jest i będzie Polska!

BROŃCIE CHIŃCZYKÓW, PANOWIE!

Zgadzamy się bez zastrzeżeń, że należy dyskutować na temat, w jaki sposób ulepszyć kresową biurokrację, skąd wziąć środków na wielką politykę ekspansji gospodarczej, jak podnieść kresy do poziomu Polski A itp. Ale wykluczamy kategorycznie rozhowory o jakimkolwiek innym stosunku Państwa i Narodu do spraw kresowych poza takim, który dyktuje polska racja stanu.

Przekonajmy Pana premiera o konieczności zmian polityki personalnej na wschodnich rubieżach, przekonajmy Pana wicepremiera o palącej potrzebie ustokrotnienia siły gospodarczej ludności od Dźwiny po Baranowicze i Pińsk, wszystkich wreszcie Polaków o tym, że odżydzenie i odrusyfikowanie miasteczka kresowego jest solidarnym obowiązkiem Narodu. Ale wyłączmy z góry wszelkie „problemy“, będące wodą na młyn nowej irrydenty.

Stwierdzamy ponadto: pomiędzy problemem rusińskim a kwestią białoruską nie ma żadnego merytorycznego iunctim. Jest jedynie więź taktyczna i sojusz wrogich nam żywiołów, przy czym, jeżeli chodzi o „Białoruś“, siedzibą tych żywiołów nie jest bynajmniej Rzeczpospolita.

Wszystkim więc entuzjastom narodowościowych problemów gorąco doradzamy zwrócenie uwagi na losy polskiej mniejszości w Niemczech, lub, co zresztą woli, innych ludów na ziemskim globie. Możliwości jest mnóstwo. Cytujemy: Indie, Chiny, Palestyna, Murzyni itd.

Ratujcie Chiny, Panowie! Tam bowiem można wyładować tęsknoty bez narażania interesów Polski na szwank. Tylko nie komplikować i tak już skomplikowanej sytuacji wewnętrznej naszego Państwa!

Pragniemy, aby w głowach wszystkich szperaczy kwestii zaświtał wreszcie jeden, najważniejszy problem: problem Polski. Problem jej życia wewnętrznego i jej własnej siły, która dopiero pozwolić może na jakąś szerszą ekspansję. Jest to problem z pewnością nie mniej ważki i otwierający z pewnością nie mniej szerokie horyzonty, niż urojone „prometejskie“ problemy.

Ludomir Skórewicz

REFLEKSJE I UWAGI

DOKTRYNA I PAŃSTWO

W Montrouge pod Paryżem odbył się w czasie świąt Bożego Narodzenia kongres francuskiej partji socjalistycznej. Było to wydarzenie o tyle ciekawe, że na kongresie starły się ze sobą dwa kierunki — wojenny i pokojowy. Pierwszemu przewodził p. Leon Blum — drugiemu — p. Paul Faure. Pierwszy pobrzękiwał głośno — jak to się mówi — szabelką, i głosił wojnę świętą przeciwko faszyzmom. Drugi tez nie lubił Hitlera i Mussoliniego, ale co do natychmiastowej wojny miał b. poważne objekcje.

Przypomniał sobie, mianowicie — i dał temu publiczny wyraz — że przecież socjaliści byli zawsze t. zw. antymilitarystami. Przecież do ich programu wchodziła zawsze propaganda pacyfizmu, budzenie niechęci do munduru i szabli, wyszukiwanie w każdym zatargu zbrojnym ukrytej walki kapitalistów o rynki zbytu lub o złoża surowców. Jakże więc tak nagle zmienić front na 180 stopni? Jakże głosić dzisiaj, to, co się potępiało wczoraj? Cóż na to powiedzą doły partyjne, którym się zaszczepiało systematycznie niechęć do Armii, wśród których tak dużo jest t. zw. „integralnych pacyfistów"?

P. Paweł Faure zastanawiał się nad tym poważnie i doszedł do wniosku, że taka wolta jest niemożliwa. Że jeśli bierze się poważnie swoje własne zasady, to trzeba nadal iść konsekwentnie po lini **„à bas la guerre!"**.

Konkres, jak wiadomo, nie podzielił jego zapatrywań i nieznaczną większością głosów przyznał rację p. Blumowi. Francuska partia socjalistyczna stanęła więc na stanowisku, że wrogiem Nr. 1 jest „międzynarodowy faszyzm", że należy zaprzestać wszelkich rokowań z Rzymem i z Berlinem i że cała siła zbrojna Francji winna być rzucona na szalę walki z nienawistną doktryną.

Jest rzeczą ciekawą, że ten bojowy kurs antyfaszystowski nie jest bynajmniej umotywowany ostatnim zaostrzeniem stosunków włosko - francuskich. Jeszcze przed wysunięciem włoskich żądań co do Tunisu i Dżibuti, gdy Mussolini szczerze wyciągał rękę do zgody, ze strony francuskiej lewicy rozlegały się akcenty groźby, szyderstwa i lekceważenia.

Nie były zagrożone wówczas żadne interesy francuskie, nie było mowy o żadnej osi Rzym — Berlin, elementarny instynkt państwowy nakazywał szukać porozumienia z wzrastającym wciąż w siły sąsiadem — a jednak mimo to w ciągu lat całych wysilano się na wszystkie możliwe afronty pod adresem współczesnej Italii i jej Wodza. W ciągu lat całych bagatelizowano i lekceważono wysiłki odrodzeńcze narodu włoskiego, ośmieszano i zbywano ironią imponującą pracę nad przebudową psychiki narodowej. W ciągu lat całych pracowano z zaślepieniem nad oderwaniem Włoch od dawnej Ententy i nad rzuceniem ich w objęcia Niemiec.

Dzisiaj wysiłki te zostały uwieńczone stuprocentowym sukcesem. Dzisiaj pp. „demokraci" mogą sobie pogratulować niebylejakiego zwycięstwa. Dzisiaj nie ulega już żadnej wątpliwości, że oś Berlin — Rzym, czyli wspólny front państw totalnych zostały zmontowany rękoma tych, co w ciągu lat całych ryczeli w niebogłosy o konieczności „walki z faszyzmem".

„Obrońcy kultury i demokra;cji" tak długo wrzeszczeli o jedności ideowej i politycznej państw totalnych, że owa jedność—bardzo z początku problematyczna! — nareszcie stała się ciałem. Tak długo montowali „front demokratyczny" przeciwko tym państwom, aż one naprawdę weszły ze sobą w ściśle porozumienie. Francuska partia socjalistyczna i p. Leon Blum odegrali w tym umacnianiu osi wcale nieposlednią rolę.

MULARZE WZMACNIAJĄ OŚ

Jak wiadomo, sezreg publicystów wyspecjalizował się oddawna w przepowiadaniu nieuchronnego jakoby załamania się osi Rzym — Berlin. Zapominają oni jednak, że cały szereg najbardziej nieoczekiwanych sprzymierzeńców czuwa pieczołowicie nad tym, ażeby istniejące przeciwieństwa nie nabrały charakteru decydującego.

Zapominają, że cały szereg „spawaczy" czuwa nad tym, ażeby zlikwidować natychmiast wszelką poważniejszą szczelinę w tej osi. Że cały szereg mularzy dba niestrudzenie o to, ażeby dać tej osi wcale solidną podmurówkę. Ostatnie uchwały kongresu w Montrouge stanowią dla Niemiec i Włoch niebylejaki argument na rzecz konieczności utrzymania i wzmacniania osi. P. Leon Blum postarał się o to, ażeby trwałość osi nie została na szwank narażona!

Uchwały kongresu socjalistycznego winny obudzić i w Polsce poważniejsze refleksje. Trudno chyba o bardziej jaskrawy przykład, do jakich skutków doprowadzić może kierowanie się w polityce zagranicznej nie interesem Państwa, lecz oderwaną doktryną. Ładniebyśmy wyglądali, gdyby tak nasza polityka zagraniczna kierowała się w swoich posunięciach sympatiami ideologicznymi, a nie jedynie i wyłącznie dobrem Rzplitej! Ładniebyśmy wyglądali, gdyby „ze względów ideologicznych" polityka nasza została wprzągnięta do czyjegoś obcego rydwanu!

P. LEON BLUM I P. DOROTA KŁUSZYŃSKA, CZYLI PRZEDZIWNE WOLTY PPS-u.

Rzecz prosta — uchwały socjalistów francuskich, ulegających wpływowi p. Leona Bluma, a więc domagających się zwiększenia zbrojeń Francji, są stuprocentowo słuszne. Ciekawą jest jednak rzeczą, że w łonie tego samego stronnictwa mogą istnieć równocześnie dwa prawie jednakowo silne kierunki ideowe. Jeden — potrząsający groźnie karabinem i głoszący hasła wojny prewencyjnej, i drugi — maszerujący pod tradycyjnym hasłem „precz z militaryzmem". Już sama możliwość podobnej dwutorowości jest dowodem, że ma się tu do czynienia z posunięciem koniunkturalnym i taktycznym, że dziś głosi się konieczność zbrojeń i potęgi Państwa, a jutro może powiać wiatr z całkiem innej strony.

Dlatego też zdrowe elementy narodu mają tendencję do hołdowania innej ideologii, dla której siła i honor Państwa są czemś więcej, niż doraźną potrzebą chwili. Ideologia narodowa nie chyłkiem, nie półgębkiem i nie ukradkiem głosi, że celem wysiłków jest praca na rzecz dobra powszechnego. Nie tylko dlatego głosi, że Naród musi być silny i zbrojny, że ktoś tam gdzieś zaczął Żydów tłuc, lecz dlatego, że wynika to z samej jej istoty i z najgłębszych założeń.

Nie dlatego żąda pogotowia i koordynacji wysiłków, ażeby żywymi siłami Narodu rozegrać batalię o jakieś postronne i obce mu cele, lecz dlatego — by Naród w każdej chwili był gotów do walki o swoje dobro i honor. Nie dlatego woła „do broni!", że interes Żydostwa jest zagrożony, lecz dlatego — że wróg grozi własnemu Narodowi. I dlatego też w zdrowych psychicznie i moralnie społeczeństwach odbywa się dziś żywiołowy proces odwrotu od haseł marxistowskich i triumfalny pochód idei narodowej.

Wszystko to, co powiedzieliśmy, ma zastosowanie i do polskiego terenu. Polska Partia Socjalistyczna potrafi uderzać dzisiaj w b. bojowe tony, żądając rozprawy z „międzynarodowym faszyzmem". Ale były czasy, gdy mówiło się nieco inaczej, inaczej, inaczej...

Piszący te słowa pamięta b. dobrze wrażenie, jakie nań wywarło przed laty (w okolicach 1926 r.) przemówienie p. Senatorki Doroty Kłuszyńskiej na wiecu w Skierniewicach, w kinie „Satyr". Pani Senatorka — jeden z głównych filarów PPS — poświęciła wówczas swoją mowę walce z militaryzmem i drwinom z samej zasady służby wojskowej.

„Sądziłeś, bracie mój — wołała p. Senatorka — że w dwudziestym pierwszym roku życia umiesz już chodzić, lecz oto okazuje się—że nie! Zabiorą cię, bracie, z twojego miasta lub z wioski, ubiorą w mundur i powiedzą ci, że chodzić nie umiesz i zaczną cię dopiero uczyć!"... Tako mówiła w swoim czasie p. Dorota Kłuszyńska...

Wrażenie, wywołane na sali tym przemówieniem, było piorunujące, choć niejednolite. Młode jewrejczyki, które przyszły tłumnie na wiec, klaskały, ryczały i wyły z uciechy. Starzy natomiast robociarze z warsztatów kolejowych siedzieli milcząco, zdumieni i skonsternowani. Słuchał ze zdziwieniem tych słów i niżej podpisany, który inne miał dotąd pojęcie o Polskiej Partii Socjalistycznej. Więc to takie prądy wzięły górę w sławnym PPS-ie? Więc to tak nisko upadł sztandar, który dźwigał niegdyś Józef Piłsudski?...

Wytłumaczenie przedziwnych wolt PPS-u jest tylko jedne. Polska Partia Socjalistyczna była w swoim czasie bojowym nacjonalistycznym ugrupowaniem. W swoim bohaterskim okresie nie była ona bynajmniej patrją marksistowską. Prądy narodowe w owym okresie dominowały z niej zupełnie wyraźnie. Dzisiaj sytuacja jest inna. Dzisiaj w PPS-ie zwyciężyły prądy marxistowskie i wpływy żydowskie. Oto istota sytuacji.

ZAMTUZIK PODKARPACKI, CZYLI T. ZW. PRZYJAŹŃ POLSKO-NIEMIECKA

P. minister Beck złożył niedawno wizytę kanclerzowi Hitlerowi w jego słynnym już dzisiaj Berghofie. W rozmowie, jaka się tam odbyła, poruszone były niewątpliwie zagadnienia najistotniejsze. Dyplomacja polska dała dość dowodów trzeźwej oceny rzeczywistości a niedawne deklaracje polsko-sowieckie stanowią dowód, że potrafi ona grać na różnych fortepianach. Wolno też przypuszczać, że podczas tej rozmowy zostało omówione wszechstronnie i zagadnienie Rusi Podkarpackiej.

O przebiegu konferencji w Berghofie nie posiadamy żadnych bliższych informacyj. Zakładamy z góry, że postulaty polskie zostały tam postawione w sposób zdecydowany i mocny. Zakładamy z góry, że dyplomacja polska zrobiła absolutnie wszystko, co było w jej mocy. Zdajemy też sobie dobrze sprawę z wielkiej prawdy tkwiącej w łacińskiej maksymie: „Nec Hercules contra plures". Ale z drugiej strony opinia publiczna ma prawo formułować swoje wnioski na podstawie konkretnych faktów, narzucających się wprost każdemu obserwatorowi. Wnioski te zaś są tego rodzaju, że probierzem stosunków polsko-niemieckich jest dzisiaj Ruś Podkarpacka. I to nie żaden „stan rzeczy" w państwie ks. Wołoszyna, nie żadne „powstrzymanie się od propagandy antypolskiej" — lecz poprostu likwidacja całego tego „pidkarpackiego" zamtuzu, używając pięknej starej polszczyzny.

„Ukraina Podkarpacka" — niezależnie od najpiękniejszych deklaracji dyplomatycznych oraz najbardziej „uspakajających wyjaśnień", jest tworem wybitnie antypolskim. Już dzisiaj stała się ona międzynarodowym domem publicznym dla wszelkiego rodzaju awanturników, łowców ryb w mętnej wodzie, agentów i szpiegów. Nie może więc być mowy o żadnej „normalizacji stosunków", tylko o zwykłej likwidacji całego przedsiębiorstwa. Jeśli Niemcy się na to zgodzą — będzie to oznaczało, że możemy liczyć na ich przyjaźń, lub przynajmniej lojalność. Jeśli nie — sytuacja będzie również jasna na sto procent.

Polska mądrość ludowa bardzo niepochlebnie oceniła by doświadczenie starego wróbla, któryby dał się wziąć — na plewy.

ZMIERZCH PROMETEUSZÓW

Wydawany przez p. Włodzimierza Bączkowskiego „Biuletyn Polsko Ukraiński" przestał wychodzić jako tygodnik. W uzasadnieniu dokonanej zmiany redakcja podała szereg b. przekonywujących motywów, świadczących o trzeźwej ocenie sytuacji.

Zwinięcie „Biuletynu" w jego dotychczasowej (a bardzo rozbudowanej) postaci nabiera niewątpliwie cech symbolu. Jest to bowiem wyraźna oznaka zmierzchu t. zw. „idei prometejskiej", dążącej do rozbioru Rosji, do tworzenia „wielkiej Ukrainy" i t. p. Są to niewątpliwie b. piękne i gigantyczne projekty ale, niestety, życie wymierzało w nie raz po raz bezlitosne ciosy.

Nasze negatywne stanowisko wobec tych koncepcyj, któremu wyraz dawaliśmy w ciągu lat całych, sprowadza się do trzech prawd zasadniczych:

1-o) do naszych ewentualnych projektów rozbijania Rosji będziemy dziś mieli niewątpliwie pewnego „wspólnika", na „współpracy" z którym możemy wyjść jak Zabłocki na mydle;

2-o) nie możemy pchać się nad Dniepr, skoro nie stoimy jeszcze dość mocno nad Prypecią;

3-o) łatwo jest być może, jak Frankenstein, wywołać ducha „wielkiej Ukrainy", ale duch ten może równie łatwo wyrżnąć po łbie swojego niefortunnego twórcę.

Więc może jednak lepiej — dać temu spokój.

wil.

LONDYN PO STRACHU

Londyn, w grudniu.

Może to się wydać dziwne, lecz publiczność angielska wciąż jeszcze żyje w dużym stopniu wspomnieniami jesiennego kryzysu międzynarodowego. U nas mówi się o nim już prawie jak o wydarzeniu historycznym, tymczasem w Anglii i nawet, jeśli sądzić po jej prasie, w Ameryce, posiada on wciąż cechy pewnej aktualności. Nic dziwnego, — przecież u nas nie kopano na gwałt schronów przeciwlotniczych w Łazienkach, ani nie wysyłano dzieci tysiącami za miasto aby uratować przynajmniej ich życia. A jednak byliśmy nie dalej niż Londyn od ogniska kryzysu i mieliśmy równe przyczyny do zaniepokojenia.

Teraz nastąpiła w Anglii silna reakcja psychologiczna opinii publicznej, którą można określić w paru słowach jako wściekłość na Niemców i Hitlera za to, że udało im się tak napędzić strachu krajowi. Trzeba dodać, że właściwie Anglicy wcale nie są tchórzami, inaczej bowiem napewno nie zbudowaliby swego Imperium. Jednak kryzys zaskoczył przeciętnego londyńczyka i wytrącił go z równowagi, toteż teraz odgraża on chętnie Hitlerowi: „poczekaj, pokażemy za drugim razem co potrafimy".

Nienawiść do Niemców w Anglii, wedle zdania poważnych autorytetów, nie była większa nawet w czasie wojny. Coprawda, z charakterystyczną dla anglosasów skłonnością do kompromisu, wiele osób twierdzi, że Niemcy są niezmiernie miłym i wartościowym narodem, tylko narodowy socjalizm prowadzi je do szaleńczych posunięć. Ci sami ludzie byli zdania, że tylko Wilhelm II był winien wojny, zaś sami Niemcy jako naród nie ponosili za nią najmniejszej odpowiedzialności. Tu i owdzie zwracają jednak uwagę na to, że coś za często znajdują się w Niemczech przywódcy o wygórowanych ambicjach imperialistycznych, którzy ten cichy i spokojny naród prowadzą do wojen zdobywczych.

Każdy Anglik cieszy się więc teraz postępami zbrojeń brytyjskich, zakrojonych na olbrzymią skalę. Dość powiedzieć, że Anglia wydaje na zbrojenia, poza budżetem normalnym wojska i marynarki, milion funtów sterlingów dziennie, — czyli 25.000.000 złotych. Rozporządzając zaś olbrzymim, doskonale wyposażonym przemysłem i nieograniczoną ilością surowców oraz rąk do pracy, Anglia może podwoić jeszcze swój wysiłek zbrojeniowy nie odczuwając większego znużenia.

* * *

Głównym argumentem jakim sobie dodają ludzie otuchy w Londynie, jest brak surowców i żywności w Niemczech. Słyszy się na każdym kroku dość fantastyczne historie o tym, że „cały system gospodarczy niemiecki załamie się w najbliższym czasie", że „lada chwila może wybuchnąć jakiś ruch skierowany przeciwko Hitlerowi" itp. Historie te bywają najczęściej oparte na wiadomościach rozsiewanych przez emigrantów żydowskich z Niemiec, którzy starają się kształtować opinię w kierunku jaknajbardziej antyniemieckim.

Błędem byłoby jednak przypuszczać, że wrogie nastawienie względem Niemiec opiera się głównie na sprawie żydowskiej. Jest ona w rzeczywistości tylko jednym z czynników przyczyniających się do stworzenia atmosfery antyniemieckiej. Oczywiście prześladowania Żydów w Niemczech wywołują oburzenie Anglików, zawsze skłonnych do piętnowania tyranii i panowania przemocą nad słabszymi — oczywiście — poza granicami Imperium. Niema dnia, żeby pisma nie zamieszczały barwnych opisów okrucieństw względem Żydów w obozach koncentracyjnych lub gdzieindziej. Jednak decydującym czynnikiem nie jest litość dla Żydów, lecz poprostu obawa przed agresją niemiecką.

Zwłaszcza opisy bombardowania lotniczego, zamieszczane w codziennej prasie, przyczyniły się do stworzenia wyraźnej psychozy na tym punkcie. Teraz, zorientowawszy się, że przedstawiając niebezpieczeństwo w tak czarnych barwach nieco przeholowały, pisma zamieszczają artykuły dowodzące, że bomby lotnicze i gazy nie są właściwie wcale takie straszne. Ale już mało kto im wierzy, bowiem każdy ma w pamięci obrazy Wells'a przedstawiające zniszczenie Londynu w kilka godzin w następnej wojnie.

Oczywiście należy pamiętać, że czynniki miarodajne angielskie zapatrują się na sytuację z pełnym realizmem, zaś nastroje skłonne do paniki w razie ataku panują tylko wśród szerokich mas ludności. Zresztą doskonale zorganizowana obrona przeciwlotnicza w czasie ostatniego kryzysu dodała wszystkim odwagi,, zwłaszcza od chwili gdy obyowatele otrzymali maski gazowe. Od czasu do czasu rozchodzi się coprawda pogłoska, że Niemcy wynaleźli gaz, przeciw któremu maski te nie będą żadną obroną, lecz potem władze udzielają uspokajających wyjaśnień.

* * *

Mając sposobność rozmawiać z wyższym urzędnikiem angielskiego ministerstwa lotnictwa, pułkownikiem pilotem z czasów wojny, pytałem go jak zapatruje się na niebezpieczeństwo bombardowania lotniczego. „Niech miną jeszcze trzy miesiące" brzmiała odpowiedź „a mogą zburzyć nam cały Londyn i ani się na to nie obejrzymy. Zresztą, niewielka byłaby szkoda gdyby tak trzy czwarte Londynu zburzyć od fundamentów i zbudować od nowa".

Ciekawa ta odpowiedź wskazywała na to, że władze angielskie liczą się z ewentualnością przeniesienia ośrodków dyspozycyjnych w bezpieczne miejsce w razie ataku i że nawet zostały już zrobione w tym kierunku daleko idące przygotowania, które będą ukończone za parę miesięcy. Londyn rzeczywiście nie jest w swoich trzech czwartych zbyt piękny, będąc zbudowany głównie w drugiej połowie XIX-go wieku, toteż niewiele straciłby na zbombardowaniu, przynajmniej z punktu widzenia estetycznego. U nas także gruntowne zbombardowanie Nalewek lub Twardej tylko na dobre by wyszło.

Niestety trudno jest od lotników nieprzyjacielskich spodziewać się zniszczenia jedynie brzydkich dzielnic miasta. Dlatego też przygotowywana jest obrona czynna, zwłaszcza przy pomocy samolotów myśliwskich. Bohaterem narodowym stał się multimilioner lord Nuffield, znany z swoich darów na cele dobroczynne po parę milionów funtów, gdy zapoczątkował budowę nowej olbrzymiej fabryki samolotów, która produkować będzie seryjnie samoloty Supermarine Spitfire.

Supermarine Spitfire jest obecnie bez wątpienia najszybszym samolotem wojskowym na świecie, o szybkości między 500 a 600 kilometrów na godzinę. W ten sposób rozporządza on nadwyżką szykości około 100 kilometrów na godzinę nad najszybszym bombowcem. Lord Nuffield, który dawniej nazywał się William Morris i własnym wysiłkiem stał się Parem Królestwa i jednym z jego najbogatszych ludzi, zna sekrety produkcji masowej jak mało kto. Wszak zdobył swoje miliony produkując tanie samochody w ilościach dotychczas nieznanych w Europie.

Spitfire wyposażony jest w tysiąckonny silnik Rolls Royce, typu Merlin. Wiadomo, że wyroby firmy Rolls Royce nie należą do tanich, lecz rząd Jego Królewskiej Mości może sobie na nie pozwolić. Ponieważ zamówienia zbrojeniowe wykonywane są wyłącznie w kraju, więc nie osłabiają one go ekonomicznie. Wręcz przeciwnie, wzmagają zatrudnienie i szybkość obiegu pieniądza. Oczywiście gdyby tak wielkie sumy wydać na inwestycje pokojowe, skutek byłby jeszcze o wiele lepszy, ale w każdym razie lepiej dać pracę bezrobotnym w fabrykach broni niż wcale jej nie dać.

Czytelnika polskiego interesuje, rzecz prosta, pytanie, co mówią w Anglii o Polsce?

Otóż — przede wszystkim niewiele. Wciąż jeszcze przeciętny Anglik wie tyle o Polsce co my np. o Gwatemali. Zresztą ze strony polskiej nie robi się specjalnie wielkich wysiłków, aby zakres tych wiadomości powiększyć. Jest to dla nas z pewną szkodą, zarówno codzienną, która da się wyrazić w funtach i szylingach, które tracimy w handlu lub turystyce wskutek niesłusznych uprzedzeń względem Polski, jak i ogólną, która nie da się wyrazić żadną sumą pieniężną, lecz także nie jest bez znaczenia.

Bardzo często polityka polska jest identyfikowana z niemiecką, dzięki czemu dostaje się nam nieraz część niechęci skierowanej przeciwko Niemcom, którzy zresztą sami na terenie angielskim starają się wytworzyć wrażenie, że Polska należy do ich środkowo-europejskich satelitów. Pozatym obficie dostarczane przez Żydów polskich wiadomości o rzekomych pogromach i prześladowaniu Żydów w Polsce wytwarzają przekonanie, że Polska prowadzi politykę antysemicką analogiczną do niemieckiej.

Zresztą w ogóle Polska ginie w oczach Anglika we mgle, która roztacza się na horyzoncie europejskim zaraz za Berlinem. Wszystkie te kraje są nieznane, dziwne i z zasady trochę podejrzane. Natomiast Singapore, Hong Kong, Sydney lub Vancouver to są dla Anglika miejscowości realne, dobrze znane i bliskie, pomimo ich oddalenia geograficznego.

Tadeusz Lutosławski

NASZE PROJEKTY

Proponujemy plebiscyt o żydach!

W jednym z numerów „Naszego Przeglądu" ukazał się artykuł pt. „Antysemicka interpelacja", omawiający znaną interpelację koła sejmowego OZN w kwestii emigracji żydowskiej. W artykule tym czytamy m. in.:

„Uzasadnienie wniosku nie jest dla nas nowością, a antysemicki program Ozonu jest nam oddawna znany. Mogłoby się tylko zdawać, że po sromotnej klęsce antysemityzmu w Polsce, podczas ostatnich wyborów samorządowych Ozon zechce się liczyć z opinią ogółu polskiego" (podkr. nasze).

Jak wdzimy więc, Żydzi są święcie przekonani, że ogół polski nie chce emigracji Żydów z Polski i że jest wrogo nastawiony wobec antysemitów. O tej „klęsce antysemityzmu" nie wie coprawda nic społeczeństwo polskie, gdyż podczas wyborów samorządowych jako żywo nikt nie stawiał sprawy w ten sposób: kto głosuje za tym, żeby się Żydzi wynieśli, a kto za tym, żeby zostali?

Otóż, ażeby ułatwić „Naszemu Przeglądowi" powoływanie się na wyrażoną całkiem niedwuznacznie „opinię ogółu polskiego", proponujemy zorganizowanie powszechnego plebiscytu w Polsce w sprawie żydowskiej. Każdy obywatel, uprawniony według konstytucji do głosowania, otrzymałby specjalną kartkę i musiałby odpowiedzieć na dwa pytania:

1-o) Czy uważa za konieczne zastosowanie wobec Żydów ustawodawstwa wyjątkowego?

2-o) Czy uważa za konieczną masową emigrację Żydów z Polski?

Zastrzegamy się kategorycznie, że nie mamy najmniejszego zamiaru organizowania przy tej okazji jakiejś „faszystowskiej hecy antysemickiej". Chodzi nam o najbardziej legalne i demokratyczne referendum ludowe. Chodzi nam oto, ażeby wola ludu mogła się wypowiedzieć w sposób najbardziej nieskrępowany. Jesteśmy zwolennikami wszystkich najbardziej demokratycznych atrybutów głosowania. Jesteśmy za tym, ażeby głosowanie było powszechne, tajne i bezpośrednie, bez różnicy płci i wyznania.

Jesteśmy gotowi posunąć tak daleko swoją demokratyczność, że proponujemy dopuścić do głosowania nawet samych zainteresowanych, t. zn. Żydów. Niech i oni głosują w tej sprawie. Jak demokracja — to demokracja!

Jesteśmy poza tym zdecydowanymi przeciwnikami jakichkolwiek zajść i ekscesów antyżydowskich w czasie akcji plebiscytowej. Drażliwość nasza pod tym względem jest tak wielka, że gotowi jesteśmy wziąć na siebie porozpmienie się nie tylko ze Związkiem Młodej Polski ale nawet z sympatycznymi młodzieńcami z ABC, ażeby bojówki narodowe nie napadały w tym okresie na Żydów. Ażeby nic nie zakłóciło majestatu wypowiedzenia się woli ludowej i ażeby „Nasz Przegląd" mógł powoływać się potem na niefałszowaną, prawdziwą, chemicznie czystą „opinię ogółu polskiego".

Sądzimy, że szanowny organ sjonistyczny „po sromotnej klęsce antysemityzmu w Polsce podczas ostatnich wyborów samorządowych" będzie pewien zwycięstwa i dlatego projekt nasz poprze w całej rozciągłości.

Profanacja ziemi

W ostatnim numerze naszego pisma podaliśmy projekt uchwalenia przez Sejm ustawy, pozbawiającej Żydów prawa posiadania ziemi w Polsce. Ustawę taką uważalibyśmy za początek ustawodawstwa wyjątkowego w stosunku do Żydów, gdyż nie podzielamy poglądu p. posła Stocha, jakoby akcję ustawodawczą w tej materii należałoby rozpocząć od uchwalenia wniosku o „obywatelstwie tymczasowym". Jest to bowiem typowa sprawa, na której trzeba skończyć, a nie od której zaczynać.

Projekt nasz wywołał szerokie echo opinii publicznej. Cały szereg organów prasowych przedrukował nasz projekt z przychylnymi komentarzami, a redakcja otrzymała sporą paczkę listów z wyrazami aprobaty i podziękowania.

Fakty te stanowią dla nas jeszcze jeden dowód, że stanowisko nasze było słuszne i że sprawa ta dojrzała do rozwiązania. Albowiem posiadanie ziemi przez Żydów jest jej profanacją, na którą nie może się zgodzić moralne poczucie narodu polskiego.

Sprawę tę poddajemy raz jeszcze pod rozwagę sejmowego koła OZN.

CZŁOWIEK, KTÓRY POSIADAŁ CZĘŚĆ PRAWDY

W tygodniku „Jutro Polski" ukazał się pod powyższym tytułem artykuł Redaktora naszego pisma, z którego przytaczamy najistotniejsze wyjątki.

Cóż pisać o Romanie Dmowskim, gdy dzisiaj zaledwie przyszła wiadomość o Jego zgonie, gdy nie padły jeszcze na trumnę grudki ziemi, rękoma najbliższych rzucone? Nie zbraknie z pewnością słów tym, którzy w Zmarłym widzeli swego nauczyciela i wodza, którzy kroczyli za Nim wiernie, wierząc Mu i ufając. Ale cóż mają pisać ci, którzy pod innymi znakami służyli, którzy prace Romana Dmowskiego zwalczali, a którym majestat śmierci dziś usta zamyka?

Cóż mają pisać ci w szczególności, którzy z Romanem Dmowskim walczyć już nie mogli, bo byli na to za młodzi, którzy o walce legionistów z orientacją Dmowskiego mówią już: „walka ich", lecz nie „walka nasza"?

Czy mają się uciec do wygodnej zasady: „de mortuis nil nisi bene"? Czy mają się schować za wygodny parawan jakiejś szablonowej pochwały?

Nie — po stokroć nie! Roman Dmowski zasłużył na coś lepszego, niż na banalną, szablonową pochwałę. Na coś lepszego, niż na pospolite stwierdzenie, że oto umarł przeciwnik, którego ideowości hołd się oddaje. A zasłużył dlatego, że był współtwórcą rzeczywistości. Zasłużył dlatego, że wkład Jego myśli w życie polskie jest faktem niespornym. Zasłużył dlatego, że do dziś dnia liczne rzesze ludzi, po polsku czujących i Polskę kochających, widzą w Dmowskim tego, który nauczył ich swojej wykładni miłości Ojczyzny.

*

Roman Dmowski był przeciwnikiem Józefa Piłsudskiego. Na fakt ten nie da się zarzucić żadnej zasłony, nie da się go przemilczeć, nie da się go pomniejszyć. Drogi tych dwóch ludzi krzyżowały się ze sobą, język ojczysty, którego obaj używali, stawał się obcy i niezrozumiały, niechęcią i gniewem dyszały ku sobie zastępy ich zwolenników. Nie brakło teoretyków dowodzących, że reprezentują oni dwa odmienne bieguny psychiki polskiej, że fatalizm dziejów pcha ich do walki, że oto toczy się pomiędzy nimi bój śmiertelny o duszę polską, w którym, jak Ormuzd z Arymanem, tak oni pogodzić się nie mogą.

Nie będziemy dziś rozstrząsali, kto pierwszy tę walkę rozpoczął, i czy tylko fatalizm był tu przyczyną? Niech ludzie, bliscy obu tym postaciom, ujawnią, czy nie było prób porozumienia, czy nie było wypadku, gdy jeden z rywali wyciągnął rękę do zgody, a drugi — przyjąć tej ręki nie chciał...

* * *

W półwiecznej blisko walce, w której starły się ze sobą ludzie i idee, orientacje i światopoglądy — zwyciężył Józef Piłsudski. Jest to dziś jasne nie tylko dlatego, że w chwili, gdy śmierć oczy Mu zamykała, posiadał On pełnię władzy w Polsce. Nie tylko dlatego, że przy dźwiękach żałobnego werbla pochyliły się przed Jego trumną sztandary wszystkich pułków zwycięskiej Armii. I nietylko dlatego, że Naród w swym Panteonie chwały, wśród grobów królewskich, spoczynek Mu wieczny wyznaczył.

Józef Piłsudski zwyciężył dlatego, że zwyciężyły Jego hasła dumnej niezawisłości, wiary w Polskę i wiary we własne siły. Zwyciężył dlatego, że pod Jego zaklęciem wstał z martwych nieznany od wieków fenomen siły polskiej, że pod Jego czarodziejskim słowem ożył i Naród pociągnął zapomniany kult rycerskiej szpady. Zwyciężył dlatego, że pod uderzeniami Jego czynów i słów pękły nieszczęsne kontury dawnej psychiki polskiej, a obok duchów nierządu i samowoli zjawiły się zapomniane duchy karności i ładu.

Z Józefem Płsudskim sprzymierzyła się ponadto — Poezja. Idea walki z bronią, a nie samej tylko akcji dyplomatycznej, idea odzyskania wolności przez krew i ofiarę, a wbrew zimnym kalkulacjom i ostrzeżeniom, — idea ta musiała mieć za sprzymierzeńca czynnik irracjonalny. Z oparów krwi przelanej pod Laskami i Kościuchnówką wstała Legenda i szła za swoim oblubieńcem aż do samego końca.

* * *

O Romanie Dmowskim nie pisał nikt rycerskich rapsodów. Nie pobudzała do poetyckich uniesień postać trzeźwego polityka i myśliciela, zatopionego w swych księgach, analizującego zimno kierunek ewolucji ideowej świata.

Nie na szczytach władzy śmierć Go zastała, lecz w cichym dworku, w gronie przyjaciół. Nie zagrają Mu surmy pożegnalnej fanfary, nie zjadą się przedstawiciele mocarstw świata, ażeby hołd Mu złożyć. Mimowoli nasuwa się pokusa stwierdzenia, że taki jest los tych, co zostali zwyciężeni. Że tak umierają ci, co ponieśli klęskę...

Ponieśli klęskę.. A jednak... Czy nie słyszymy, jak liczne rzesze wymawiają ze czcią imię Zmarłego? Jak płacze młodzież, co widziała w Nim swego nauczyciela? Jak zjeżdżają się delegacje z całego kraju, aby przy trumnie Jego wartę honorową zaciągnąć?

Czy wiemy, ile par oczu zagłębia się w te jchwili w Jego dzieła, aby wskazania swego mistrza w pamięci odświeżyć? Czy tak wygląda prawdziwa klęska? Czy możemy powiedzieć, że tak oto odchodzi zwyciężony i zapomniany, któremu życie przekreśliło wszystkie koncepcje i plany?...

Ale — być może — ta dzisiejsza, wciąż żywa popularność w pewnej części Narodu, to tylko pewien etap na drodze do zapomnienia? Może ci, co trwają dziś przy Nim — są to tylko sekciarze, którzy stopić się muszą w powszechnym kościele jedności? Może zapomną o Nim ci, co go dzisiaj opłakują? Może rozpadną się szeregi Jego zwolenników, może kurz zapomnienia pokryje dzieła Jego na półkach bibliotek?...

Może, kto wie... Ale oto — rzecz godna uwagi... Przez Polskę współczesną przechodzą jakieś dziwne prądy. Wychodzą na jaw i nabierają kolorów najistotniejsze sprawy, dotąd jakgdyby w cieniu ukryte. Nabiera plastycznych kształtów ta prosta prawda, że Państwo, że aparat państwowy — to jeszcze nie wszystko, że nie wolno Państwa rozpatrywać w oderwaniu od jego podmiotu — Narodu, że Państwo w stosunku do Narodu jest tylko najpełniejszą formą bytu i instrumentem woli.

Nabiera wyrazistości ta wielka prawda, że Naród — to bynamniej nie zespół obywateli, zamieszkujących dane terytorium, lecz pewna mistyczna całość i jedność, będąca czymś więcej, niż sumą jednostek.

Zaczyna się szerzyć przekonanie, że aparat państwowy różnym może bogom służyć i różne go mogą idee przenikać i że nie wystarczy odbudować i umocnić zręby państwowości, lecz że trzeba ponadto Państwo Polskie uczynić polskim z ducha i z treści wewnętrznej.

Wielkie to są i święte prawdy — lecz czy to nie Roman Dmowski mówił również to samo?

Szerzy się dziś w Polsce coraz powszechniejsze zrozumienie kwestii żydowskiej. Zaczynamy dzisiaj rozumieć, że to nie „obywatele polscy wyznania mojżeszowego" miasta i miasteczka nasze zamieszkują, lecz że żyje wśród nas obcy i zwarty naród, naród — przybysz, posiadający swoje własne cele i nie robiący sobie nic z naszych narodowych celów.

Zdajemy sobie dzisiaj sprawę, że dzięki obecności tego przybysza wypaczona została potwornie struktura społeczna Narodu Polskiego, że wpływy tego przybysza przenikają w dziedzinę naszej kultury, że w interesie narodu-wędrowca leży rozkład narodów rdzennych, gdyż wtedy dopiero urzeczywistnić się mogą jego „mesjańskie" plany. Kwestii żydowskiej w Polsce nie da się dzisiaj cofnąć do jej punktu wyjścia — lecz czyż nie ma w tym zasługi Romana Dmowskiego?

Czy zastanawiając się dzisiaj nad zagadnieniem Wschodu, nad powikłanym splotem spraw narodowościowych, nie dochodzimy do wniosku, że najpewniejszą gwarancją naszego stanu posiadania jest żywiołowa ekspansja polskości na naszych ziemiach historycznych? Czy nie pokrywa nam czoła rumieniec wstydu, że w Państwie Polskim polskość może się cofać i kurczyć, wypierana przez obce żywioły? Czy nie jest dzisiaj jasne, jak fatalne skutki na mieszanych terenach miała wulgarnie pojmowana „ideologia państwowa"?

Dzisiaj rozumiemy już wszyscy, że co innego — formalna paszportowa przynależność państwowa — a co innego — organiczna przynależność do pnia Narodu Polskiego.

Dzisiaj, rozpatrując np. zagadnienie ukraińskie — nie możemy nie przypomnieć jędrnych i lapidarnych sformułowań „Świata Powojennego i Polski". Lecz w takim razie czy nie należy stwierdzić lojalnie, że i w tej sprawie, podobnie jak i w sprawie żydowskiej — Roman Dmowski miał rację?

* * *

Zdolność lojalnego przyznania zasług przeciwnikowi uważamy za niezbędny warunek oczyszczenia atmosfery politycznej i prawdziwego zjednoczenia Narodu. Wiemy jedak dobrze, że takie postawienie sprawy wywołać może zamęt w umysłach, przyzwyczajonych do szablonowego myślenia. Bo jeśli Roman Dmowski w tylu zagadnieniach życia narodowego miał rację, i jeśli idee Jego nie umarły wraz z nim, lecz w wielu dziedzinach zdobywają zwycięsko umysły i serca — to w takim razie czy to jest zwycięstwo czy klęska?

Wiemy dobrze, jaką odpowiedź dają zwolennicy i uczniowie Dmowskiego. Według nich — jest to Jego zwycięstwo moralne, zwycięstwo Jego ducha i Jego ideologii. Jest to — według nich — rewanż Dmowskiego w innej płaszczyźnie, niż płaszczyzna władzy, — w płaszczyźnie rządu dusz w Narodzie.

Poglądu tego podzielić nie możemy. Zbyt oczywistym jest przekreślenie nadziei i planów stronnictwa, któremu patronował Dmowski. Zbyt oczywistym jest niezrozumienie przez niego rzeczywistości. W sposób zbyt oczywisty nie chciały się sprawdzać jego przepowiednie rozwoju wypadków, a fatalna taktyka stronnictwa zbyt często stawała w rażącej sprzeczności z zasadami nacjonalizmu. Trudno jest mówić o zwycięstwie — nawet duchowym — tych, co posiada-

nej ideologii w żaden sposób nie mogą dopasować do rzeczywistości.

Istotą sprawy — według nas — jest to, że Roman Dmowski posiadał część prawdy i dlatego całkowicie zwyciężony być nie mógł. Pomimo całej swojej fatalnej taktyki Narodowa Demokracja reprezentowała odmianę Nacjonalizmu i dlatego w dobie triumfu prądów narodowych nie mogła być unicestwiona.

* * *

Na Wawelu, wśród ciszy grobów królewskich, spoczywają śmiertelne szczątki Józefa Piłsudskiego. Trumna Romana Dmowskiego spocznie na cmentarzu na Bródnie. Może gdzieś w zaświatach spotkają się ze sobą te dwa duchy, co za życia zrozumieć się nie mogły, choć życie całe Polsce poświęciły? Może wówczas dopiero porozumieć się potrafią?

Witold Ipohorski-Lenkiewicz

Z PRASY

P. Harold Ickes, Demokracja i cenne wyznanie

„Nasz Przegląd" w artykule p. t. „Harold Ickes — jeden z najbliższych współpracowników Roosevelta" pisze:

„Nie zapominajmy, że wezbrana, rozhukana fala antysemityzmu idzie wciąż naprzód, co świadczy o osłabieniu demokracji.

Wszyscy Amerykanie bez względu na to, jakiego są wyznania i rasy, żędają sprawiedliwego i równego traktowania Żydów. Los narodu żydowskiego jest ściśle i nierozerwalnie związany z losem demokracji. Wytężyć wszystkie siły w obronie demokracji — to znaczy walczyć z antysemityzmem".

Przyznajemy, że dawno już nie odczuwaliśmy takiej satysfakcji, jak po przeczytaniu tych właśnie słów. Dużo bowiem papieru zużyliśmy dotąd na rozważanie, na czym, w gruncie rzeczy, polega u nas spór na temat istoty demokracji?

Niewątpliwie — słowo „demokracja" jest nam sympatyczne i miłe. W swoim najgłębszym przekonaniu jesteśmy szczerymi demokratami. Być bowiem demokratą — to znaczy przeciwstawiać się wszelkim przywilejom i przesądom stanowym.

Być demokratą — to znaczy stawiać na lud, na jego zdrowie moralne i na jego, twórcze siły. Być demokratą — to znaczy dążyć do związania tego ludu z Państwem, do podnoszenia go na coraz wyższy szczebel, ażeby udział jego w życiu publicznym był coraz większy.

Być demokratą — to znaczy dążyć do tego, ażeby inteligencja polska przestała być wreszcie odmianą zdeklasowanej szlachty, a stała się wreszcie — inteligencją ludową. Takie jest nasze demokratyczne wyznanie wiary, któremu wyraz dawaliśmy zawsze.

Oddawna jednak zdawaliśmy sobie sprawę że pod słowo „demokracja" podkłada się u nas od pewnego czasu treść zgoła odmienną. Oddawna czuliśmy w tej sprawie jakiś wielki swąd. Oddawna widzieliśmy, że z pojęciem tym dokonuje się jakichś całkiem nieuczciwych machlojek. Oddawna nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego to pp. „demokraci" są tak szalenie czuli na wszelkie kłopoty żydowskie, a dlaczego tak mało ich wzrusza się np. nędzą chłopa, zdychającego z głodu w przeludnionej i zakorkowanej wsi polskiej?

I raptem — czytamy powyższe oświadczenie p. ministra Ickesa! Okazuje się, że być demokratą — to znaczy poprostu — zwalczać antysemityzm! Okazuje się, że demokracja — a interes Żydostwa — to jedno. Okazuje się, że zamiast używać niepopularnego zwrotu „Obrona interesów żydowskich" — znacznie korzystniej jest wywiesić piękny i szacowny sztandar Demokracji!

Cenne to, bardzo cenne wyznanie!... Czy wiecie o nim wy wszyscy, którzy wierzycie w piękne „demokratyczne" hasła? Czy wiecie o nim wy, co zachwycacie się wzniosłością humanitarnych uczuć rozmaitych „Epok", „Sygnałów" i „Czarno na Białem"? Czy nie przyjdzie wam na myśl, że możecie być poprostu oszukiwani, że nadużywa się częstokroć cynicznie waszej dobrej wiary i szczerego demokratyzmu?

Czy nie przyjdzie wam na myśl to proste przypuszczenie, że jeśli kapitał jest skoncentrowany w rękach żydowskich i jeśli interes Żydów a demokracja — to jedno, to Żydzi muszą dawać pieniądze na rozmaite „demokratyczne" sklepiki? Czy potraficie więc przeprowadzić granicę pomiędzy szczerością przekonań, a wpływami żydowskiego pieniądza?

Odpowiedźcie na to, pp. „demokraci", którzy wierzycie swoim przywódcom...

ABC zapytuje: dlaczego?..

W „ABC" ukazał się artykuł p. Jerzego Kurcyusza p. t. „Dlaczego"..., w którym czytamy m. in.:

„Kto widział pogrzeb Dmowskiego, ten nie mógł odeprzeć wrażenia, że przy całej jego wspaniałości, całym majestacie skromności i prostoty — było z nim jakieś tragiczne, bolesne niedomówienie.

Więc jakto?

W pogrzebaniu doczesnych szczątków niemal każdego wybitniejszego pisarza, artysty, działacza społecznego... uczestniczą ci, którym danym jest reprezentować majestat Rzplitej, uczestniczą delegaci rządów, ministrów...

A o pogrzebie Dmowskiego zapomniano?

Nie zaślepienie dyktuje nam gorzkie pytanie, jakże istotne w swej treści i prawdzie: gdzie byli panowie ministrowie Rzplitej, gdzie byli ci, co mówią o zjednoczeniu Narodu, w godzinie, gdy trumna ze zwłokami Dmowskiego szła ulicami Warszawy?"

Stosunek nasz do osoby Dmowskiego sprecyzowaliśmy na innym miejscu w sposób jasny i niedwuznaczny. Nie cofnęliśmy się przytem przed zaznaczeniem momentów, które mogły być uznane za drażliwe lub niewygodne. Celowo jednak nie chcieliśmy poruszać kwestii owego „dlaczego?" ze względu na majestat śmierci i powagę chwili. Skoro jednak „ABC" pierwsze porusza tę sprawę, odpowiadamy:

a) Piłsudczycy nie mogli wziąć udziału w pogrzebie Wodza Stronnictwa Narodowego, gdyż stronnictwo to obraziło ciężko ich najświętsze uczucia w chwili śmierci ich Wodza;

b) w chwili śmierci Józefa Piłsudskiego Roman Dmowski nie zdobył się na złożenie hołdu swojemu Wielkiemu Przeciwnikowi; nie zdobył się na przesłanie kondolencyj lub na złożenie wieńca z napisem „Przeciwnikowi — inaczej kochającemu Polskę".

c) Stronnictwo Narodowe od lat całych stało na stanowisku bezwzględnego bojkotu władz, instytucyj i osób, sprawujących rządy w Polsce. Stronnictwo to wykluczało ze swych szeregów ludzi, którzy usiedli przy jednym stole z Naczelnym Wodzem Armii Polskiej;

d) Cechą Stronnictwa Narodowego jest od lat całych fanatyczny i nieliczący się z rzeczywistością ekskluzywizm grupowy. Nie istnieją więc żadne powody do przypuszczenia, ażeby w chwili śmierci Dmowskiego ekskluzywizm ten miał ulec zawieszeniu i ażeby Stronnictwo to samo życzyło zmiany polityki bojkotu i „splendid isalation".

Są to wszystko rzeczy b. bolesne i smutne... Wolelibyśmy i my, żeby było inaczej. Wolelibyśmy, ażeby przynajmniej w chwili śmierci mogły ucichnąć „potępieńcze swary" i ażeby choć w tej chwili umiano oddać hołd zasługom i ideowości przeciwnika. Jeśli jednak stało się inaczej, jeśli pogrzeb Dmowskiego nie stał się manifestacją braterstwa i pojednania — wina za to nie spada na obóz Piłsudczyków.

P. Jerzy Kurcyusz winien pod innym adresem skierować swoje rekryminacje.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Złota 35 m. 31. KONTO PKO. 23.511.
PRENUMERATA: rocznie 3 zł., półrocznie 1,50.

Wydawca i Redaktor: **Witold Ipohorski-Lenkiewicz**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.